

## Joseph Delaney, *Pomyłka stracharza* (Kroniki Wardstone, tom V)

Z laską w dłoni poszedłem do kuchni i zabrałem pusty worek. Do zmierzchu została ledwie godzina, ale wciąż miałem dość czasu, by zejść do wsi i odebrać cotygodniowe zakupy. W domu znalazłem tylko kilka jajek i mały kawałek sera z Hrabstwa.

Dwa dni wcześniej stracharz wyruszył na południe, by rozprawić się z boginem. Z irytacją pomyślałem, że już drugi raz w tym miesiącu mój mistrz udał się do pracy beze mnie. Za każdym razem powtarzał, że to rutynowa sprawa, nic, czego nie oglądałem wcześniej podczas terminu; lepiej, bym został w domu, ćwiczył łacinę i nadganiał naukę. Nie protestowałem, ale nie byłem zadowolony. Bo widzicie, podejrzewałem, że miał też inny powód – próbował mnie chronić.

Pod koniec lata czarownice z Pendle wezwały na świat Złego, ucieleśnienie mroku, Diabła we własnej osobie. Przez dwa dni podlegał ich władzy, a one rozkazały, by mnie zniszczył. Schroniłem się w specjalnym pokoju, który wyszykowała mi mama, i tym sposobem ocalałem. Obecnie Zły zajmował się własnymi mrocznymi sprawami, ale nie miałem pewności, czy znów nie zacznie mnie ścigać. Najczęściej wolałem o tym nie myśleć. Jedno było pewne: od chwili przybycia Złego Hrabstwo stawało się coraz bardziej niebezpieczne; zwłaszcza dla tych, którzy walczyli z mrokiem. Ale nie oznaczało to, że zawsze będę mógł się ukrywać przed zagrożeniem. Teraz byłem jedynie uczniem, lecz pewnego dnia zostanę stracharzem i będę musiał ryzykować tak samo jak mój mistrz, John Gregory. Żałowałem tylko, że on widzi to inaczej.

Przeszedłem do pokoju, w którym Alice pracowała ciężko, przepisując książkę z biblioteki stracharza. Pochodziła z rodu czarownic z Pendle, przez dwa lata pobierała nauki czarnej magii od swej ciotki, Kościstej Lizzie, bezecnej wiedźmy, obecnie bezpiecznie uwięzionej w jamie w ogrodzie stracharza. Alice sprawiła mi sporo kłopotów, ale w końcu została moja przyjaciółka. Teraz mieszkała z mistrzem i ze mną, zarabiając na utrzymanie kopiowaniem ksiąg.

W obawie, że mogłaby przeczytać coś, czego nie powinna, stracharz nie dopuszczał jej do swej biblioteki i przekazywał tylko po jednej książce naraz. Nie znaczy to, że nie doceniał jej zdolności skryby. Bardzo cenił sobie książki, skarbnice wiedzy zgromadzonej przez pokolenia stracharzy – i każda kolejna dokładna kopia sprawiała, że czułem się nieco pewniej w kwestii przetrwania owej wiedzy.

Alice siedziała za stołem z piórem w dłoni, mając przed sobą dwa otwarte tomy. W jednym pisała starannie, przepisując z drugiego. Spojrzała na mnie z uśmiechem: nigdy jeszcze nie wyglądała ładniej, płomień świecy rzucał blask na jej gęste ciemne włosy i mocno zarysowane kości policzkowe. Kiedy jednak zauważyła, że mam na sobie płaszcz, uśmiech natychmiast zniknął z jej twarzy. Odłożyła pióro.

– Idę do wioski odebrać zakupy – oznajmiłem.

– Nie ma potrzeby, żebyś to robił, Tom! – zaprotestowała. Na jej twarzy i w głosie odbiła się wyraźna troska. – Ja pójdę, ty zostań w domu i się poucz.

Chciała dobrze, lecz jej słowa rozzłościły mnie i musiałem ugryźć się w język, by nie powiedzieć czegoś niemiłego. Była taka sama jak stracharz – nadopiekuńcza.

– Nie, Alice – oznajmiłem stanowczo. – Od tygodni siedzę w tym domu i muszę się przejść, żeby przewietrzyć myśli. Wrócę przed zmierzchem.

– W takim razie pozwól mi iść z tobą, Tom. W końcu mnie też przydałaby się przerwa, mam potąd oglądania starych, zakurzonych ksiąg. Ostatnio nie robię nic innego, tylko piszę i piszę!

Zmarszczyłem brwi. Nie mówiła szczerze i to mnie rozzłościło.

– Tak naprawdę wcale nie chcesz iść do wioski, prawda? Wieczór jest zimny, mokry i paskudny. Jesteś taka sama jak stracharz. Uważasz, że sam nie będę bezpieczny, że nie poradzę sobie...

– Nie chodzi o to, że sobie nie poradzisz, Tom, tylko o to, że teraz po świecie krąży Zły, pamiętasz?

– Jeśli Zły po mnie przyjdzie, niewiele zdołam zdziałać i twoja obecność niczego nie zmieni. Nawet stracharz nie zdołałby mi pomóc.

– Ale nie chodzi tylko o Złego, prawda, Tom? Hrabstwo jest teraz o wiele bardziej niebezpieczne. Nie tylko mrok rośnie w siłę, ale po drogach krążą bandyci i dezertery. Zbyt wielu ludzi głoduje. Niektórzy poderżnęliby ci gardło za połowę tego, co przyniesiesz w koszyku!

Cały kraj ogarnęła wojna i na południu szło nam bardzo źle. Do naszych uszu docierały relacje o straszliwych bitwach i klęskach. Oprócz zatem dziesięciny, którą farmerzy musieli płacić kościołowi, połowę pozostałych zbiorów skonfiskowano, by wyżywić wojsko. To zmniejszyło zapasy i wywindowało ceny; najbiedniejsi od dawna głodowali. Choć jednak słowa Alice zawierały w sobie wiele prawdy, nie zamierzałem ulec.

– Nie, Alice, świetnie sobie poradzę. Nie martw się, niedługo wrócę!

Nim zdołała powiedzieć coś jeszcze, odwróciłem się na pięcie i ruszyłem naprzód szybkim krokiem. Wkrótce zostawiłem za sobą ogród i maszerowałem wąską dróżką, wiodącą na dół do wsi. Powoli zapadała noc, a jesień przyniosła ze sobą ochłód i wilgoć. Dobrze było jednak wydostać się poza granice domu i ogrodu. Wkrótce ujrzałem znajome szare dachy Chipenden, a pod stopami poczułem bruk opadającej stromo głównej ulicy.

W wiosce panował znacznie większy spokój niż latem, gdy wszystko zaczęło się psuć. Wówczas roiło się tu od kobiet uginających się pod ciężarem wypełnionych po brzegi koszyków z zakupami; teraz widziałem nielicznych ludzi, a kiedy wszedłem do rzeźnika, odkryłem, że jestem jedynym klientem.

– Poproszę o zamówienie pana Gregory'ego, jak zwykle – rzekłem.

Rzeźnik, rosły mężczyzna o czerwonej twarzy i rudej brodzie, kiedyś był duszą sklepu, opowiadał dowcipy i zabawiał kupujących. Teraz twarz mu spoważniała, a radość życia jakby z niego uszła.

– Przykro mi, chłopcze, ale nie mam dziś dla ciebie zbyt wiele. Zdołałem odłożyć tylko dwa kurczaki i parę plastrów boczku, a i tak trudno było przechować je dla was pod lada. Lepiej, byś zajrzał jutro, byle przed południem.

Przytaknąłem, schowałem mięso do worka, poprosiłem, by zapisał na nasz rachunek, a potem podziękowałem i ruszyłem do kramu z warzywami. Tam poszło mi niewiele lepiej. Dostałem kartofle i marchew, ale stanowczo zbyt mało, byśmy przetrwali tydzień. Jeśli chodzi o owoce, kupiec znalazł zaledwie trzy jabłka. Poradził mi to samo co rzeźnik – abym spróbował ponownie jutro, może wówczas dopisze mi szczęście i zdobędę więcej produktów.

W piekarni zdołałem kupić parę bochnów chleba, po czym wyszedłem z workiem na ramieniu. Wtedy zobaczyłem, że ktoś obserwuje mnie z drugiej strony ulicy. Był to chudy dzieciak, chłopiec najwyżej czteroletni, o sterczących kościach i wielkich głodnych oczach.

Pożałowałem go, toteż podszedłem, pogrzebałem w worku i dałem mu jabłko. Omal nie wyrwał mi go z dłoni, po czym bez słowa podziękowania odwrócił się i pobiegł do domu.

Wzruszyłem ramionami, uśmiechając się do siebie. Potrzebował jabłka bardziej niż ja. Ruszyłem z powrotem na wzgórze, tęskniąc za ciepłem i wygodą domu stracharza. Gdy jednak dotarłem do granicy wioski i bruk ustąpił miejsca błotowi, mój nastrój zaczął się psuć.

Coś było nie tak. Czuję to, ale nie był to przejmujący chłód, który zazwyczaj ostrzegał mnie przed nadejściem czegoś z mroku. Odczuwałem wyraźny niepokój. Instynkt ostrzegał mnie przed niebezpieczeństwem.

Cały czas oglądałem się za siebie, wyczuwając, że ktoś podąża za mną. Czy to mógł być Zły? Czyżby Alice i stracharz mieli jednak rację? Przyspieszyłem kroku, tak że niemal biegłem. Nad moja głowa pędziły czarne chmury; do zachodu słońca pozostało niecałe pół godziny.

Otrząśnij się, upomniałem się w duchu, to tylko wyobraźnia. Jeszcze krotki spacer i znajdę się na skraju zachodniego ogrodu, a stamtąd po pięciu minutach dotrę do bezpiecznego schronienia – domu mego mistrza. Nagle jednak zatrzymałem się. Na końcu ścieżki, pośród cieni pod drzewami, ktoś na mnie czekał.

Przeszedłem jeszcze kilka wolnych kroków i uświadomiłem sobie, że to nie jeden człowiek – czterech wysokich i silnych mężczyzn oraz chłopak patrzyło w moja stronę. Czego chcieli? Nagle wyczułem niebezpieczeństwo. Czemu nieznajomi kręcili się tak blisko domu stracharza? Czy to bandyci? Kiedy jednak się zbliżyłem, poczułem się pewniej: zamiast wejść na ścieżkę, by mi przeszkodzić, pozostali pod osłoną nagich drzew. Zastanawiałem się, czy ich nie pozdrowić, ale potem uznałem, że lepiej iść szybko dalej, nie dając po sobie znać, że ich widzę. Gdy minąłem mężczyzn, odetchnąłem z ulgą, potem jednak usłyszałem jakiś dźwięk na ścieżce za sobą. Zabrzmiał jak brzęk monety padającej na kamień.

Może miałem dziurę w kieszeni, zgubiłem kilka drobniaków?

Jednak gdy tylko się odwróciłem i spojrzałem za siebie, spośród drzew wyłonił się mężczyzna, ukląkł na ścieżce, podniósł coś i spojrzał na mnie z przyjaznym uśmiechem.

– To twoje, chłopcze? – spytał, unosząc ku mnie monetę.

Po prawdzie, nie byłem pewien, ale z całą pewnością słyszałem dźwięk, który brzmiał, jakbym coś upuścił. Odłożyłem zatem worek i kij i sięgnąłem lewą ręką do kieszeni portek, zamierzając przeliczyć pieniądze. Nagle jednak poczułem, że ktoś wciska mi w rękę monetę. Spojrzałem i ze zdumieniem ujrzałem w swej dłoni srebrnego szylinga. Wiedziałem, że nie miałem takiego, toteż pokręciłem głową.

– Nie jest mój – rzekłem z uśmiechem.

– Teraz już jest, chłopcze. Właśnie przyjąłeś go ode mnie. Czy nie tak, chłopcy?

Jego towarzysze wyłonili się spod drzew i serce uciekło mi w pięty. Wszyscy mieli na sobie mundury, na ramionach dźwigali torby. Byli też uzbrojeni – nawet chłopak. Trzech z nich dzierżyło w rękach solidne pałki, a jeden, z naszywkami kaprała, nosił nóż.

Przerażony, obejrzałem się na tego, który wręczył mi monetę. Wstał już, toteż widziałem go lepiej. Twarz miał ogorzałą i pomarszczoną, o wąskich, okrutnych oczach. Na czole i prawym policzku ujrzałem blizny – najwyraźniej wiele przeżył. Na lewym rękawie miał naszyte paski sierżanta, u pasa wisiała mu szabla. Miałem do czynienia z werbownikami. Na wojnie nie wiodło nam się najlepiej i bandy werbowników krążyły po Hrabstwie, siłą zmuszając mężczyzn i chłopaków do zaciągnięcia się do wojska. Mieli zastąpić poległych w boju.

– Właśnie przyjąłeś królewskiego szylinga! – oznajmił mężczyzna i zaśmiał się szyderczo, nieprzyjemnie.

– Wcale go nie przyjąłem! – zaprotestowałem. – Powiedziałeś, że jest mój i sprawdzałem, czy to prawda.

– Nie ma się co tłumaczyć. Wszyscy widzieliśmy, co się stało, prawda chłopcy?

– Bez dwóch zdań – zgodził się kapral.

Utworzyli wokół mnie krąg, odcinając drogę ucieczki.

– Czemu chłopak jest ubrany jak ksiądz? – spytał najmłodszy, najwyżej rok starszy ode mnie.

Sierżant ryknął śmiechem i uniósł moja laskę.

– To nie ksiądz, Toddy. Nie potrafisz poznać ucznia stracharza? Przyjmują od ludzi ciężko zarobione pieniądze, by strzec ich przed tak zwanymi wiedźmami. Tym się właśnie zajmują. I znajdują dość głupców skłonnych im zapłacić!

Cisnął mój kij Toddy'emu.

– Weź to, młody – polecił. – Jemu nie będzie już potrzebny, a dobrze się nada na rozpałkę. – Następnie podniósł worek i zajrzał do środka. – Dość strawy, by napelnić dziś nasze brzuchy, chłopcy! – wykrzyknął, a twarz mu pojaśniała. – Widzicie? Warto wierzyć sprytnemu sierżantowi. No co, nie miałem racji? Mówiłem, byśmy złapali go w drodze powrotnej na wzgórze, a nie gdy będzie szedł na dół! Warto było zaczekać!

W tym momencie, otoczony, nie dostrzegałem szansy na ucieczkę. Wiedziałem, że udawało mi się wyrwać z gorszych tarapatów – kilka razy nawet ze szponów wrogów uprawiających czarna magię. Postanowiłem poczekać na jakąś sposobność. Czekałem cierpliwie, tymczasem kapral wyjął z torby kawał sznura i związał mi ciasno ręce za plecami. Potem obrócił mnie na zachód i pchnął ostro w plecy, poganiając. Zaczęliśmy szybko maszerować, Toddy dźwigał worek z zapasami.

Szliśmy niemal godzinę, najpierw na zachód, potem na północ. Domyślałem się, że nie znali krótszej drogi przez wzgórze, a ja nie zamierzałem im jej pokazywać. Bez wątpienia zmierzali do Sunderland Point – tam wsadza mnie prawie na statek, płynący na południe, gdzie ścierają się armie. Im dłużej potrwa podróż, tym większa będę miał szansę ucieczki.

A przecież musiałem uciec. Inaczej moje dni nauki u stracharza dobiegłyby końca.

Kiedy zrobiło się tak ciemno, że przestaliśmy widzieć drogę, zatrzymaliśmy się na polanie pośrodku lasu. Byłem gotów przy pierwszej sposobności rzucić się do ucieczki, lecz żołnierze zmusili mnie, bym usiadł, i wyznaczyli jednego do pilnowania. Reszta zbierała drwa na ognisko. W zwykłych okolicznościach liczyłbym na to, że zjawi się stracharz i spróbuje mnie uratować. Nawet w ciemności potrafił świetnie odnajdywać trop i z pewnością zdołałby odszukać tych ludzi. Nim jednak wróci po rozprawie z boginem, mnie wsadza już na statek i znajdę się poza jego zasięgiem. Jedyną nadzieję pokładałem w Alice. Spodziewała się mego powrotu i po zmroku z pewnością zacznie się niepokoić. Ona także umiała mnie znaleźć – byłem tego pewien. Ale jak miałaby sobie poradzić z pięcioma zbrojnymi?

Wkrótce zapłonął ogień, żołnierze rzucili w płomień także moja laskę. Dostałem ją kiedyś od mistrza, była moja pierwsza bronią i jej utrata zraniła mnie boleśnie. Zwłaszcza że wyglądało na to, że wraz z nią zniknie także szansa dokończenia terminu u stracharza.

Żołnierze zaczerpnęli hojnie z mojego worka i wkrótce oba kurczaki piekły się już na rożnie. Mężczyźni zaś odkrawali pajdy chleba i przypiekali nad ogniskiem. Kiedy posiłek był gotowy, ku memu zdumieniu, rozwiązali mnie i dali więcej, niż mogłem zjeść. Lecz nie kierowała nimi dobroć.

– No jedz, chłopcze – rozkazał sierżant. – Chcemy, żebyś był silny i sprawny, kiedy cię oddamy. Przez ostatnie dwa tygodnie złapaliśmy dziewięciu, ty jesteś dziesiąty. I prawdziwy z ciebie skarb. Silny, młody, zdrowy, nieźle nam za ciebie zapłacą!

– Nie wygląda zbyt wesoło – zadrwił kapral. – Nie rozumie, że to najlepsze, co mogło go spotkać? Dzięki temu staniesz się mężczyzną, chłopcze.

– Nie patrz tak ponuro! – szydził sierżant, popisując się przed swoimi ludźmi. – Może nie pošlę cię do walki. Marynarzy też nam brakuje! Umiesz pływać?

Pokręciłem głową.

– To nie przeszkoda, by zostać majtkiem. Po odbiciu od brzegu i tak nikt nie przeżywa zbyt długo. Zamarza na śmierć albo rekiny odgryzają mu nogi!

Gdy opróżniliśmy talerze, znów związali mi ręce.

Podczas gdy rozmawiali, położyłem się na plecach i zamknąłem oczy, udając, że śpię, i słuchając ich rozmów.

Najwyraźniej mieli dosyć werbowania dla wojska. Zastanawiali się nad dezercją.

– Ten będzie ostatni – wymamrotał sierżant. – Odbierzemy zapłatę, a potem znikniemy na północy Hrabstwa i poszukamy sobie bogatszych łupów. Musi istnieć jakaś lepsza robota!

To się nazywa szczęście, pomyślałem. Jeszcze jeden i odejdą. Byłem ostatnim chłopakiem, którego zamierzali siłą wcielić do wojska.

– Sam nie wiem, czy to dobry pomysł – odezwał się żaloszny głos. – Nigdzie nie ma pracy. Dlatego właśnie mój tatko posłał mnie na wojaczkę.

To był chłopak, Toddy. Przez chwilę przy ognisku zapadła krepująca cisza. Wyczuwałem, że sierżant nie lubi, gdy mu się zaprzecza.

– Cóż, Toddy – rzekł, a w jego głosie dzwięczała gniewna nuta. – To zależy, kto szuka pracy, chłopak czy mężczyzna. I zależy od tego, o jakiej pracy mowa. Ale wiem o jednej wolnej posiadzie. Tutejszy stracharz będzie szukał nowego ucznia. Nadajesz się idealnie.

Toddy pokręcił głową.

– Nie spodobałoby mi się to zajęcie. Boję się czarownic...

– To tylko bajdy. Czarownice nie istnieją. No, dalej, Toddy, powiedz mi! Widziałeś kiedy czarownicę?

– Kiedyś taka stara mieszkała w naszej wiosce – odrzekł Toddy. – Miała czarna kotkę i ciągle mamrotała coś pod nosem. A na brodzie miała brodawkę!

– Kotka czy czarownica? – zadrwił sierżant.

– Czarownica.

– Czarownica z brodawka na brodzie! No popatrz, wszyscy trzęsiemy się ze strachu, chłopcze – zarechotał sarkastycznie sierżant. – Musimy cię posłać do terminu do stracharza. A kiedy już skończysz, będziesz mógł wrócić i się z nią rozprawić.

– Nie – mruknął Toddy. – Nie będę. Ona już nie żyje. Przywiązali jej ręce do stop i wrzucili do stawu, żeby sprawdzić, czy będzie pływać...

Jego towarzysze ryknęli śmiechem, ja jednak nie widziałem w tym nic zabawnego. Niewątpliwie chodziło o, jak to nazywał stracharz, „fałszywie pomówioną” – biedną staruszkę, która nie zasłużyła sobie na taki los. Te, które tonęły, uznawano za niewinne, często jednak umierały z wstrząsu bądź na zapalenie płuc, jeśli wcześniej się nie utopiły.

– I co, Toddy? Pływała? – dopytywał się sierżant.

– Owszem, ale twarzą do dołu. Wyłowili ją, żeby ją spalić, lecz już nie żyła. Więc zamiast tego spalili jej kotkę.

Odpowiedział mu kolejny wybuch okrutnego śmiechu, jeszcze głośniejszy niż poprzedni.